



Miłosz Kamil Manasterski Sztuka czytania



e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Miłosz Kamil Manasterski
SZTUKA CZYTANIA

NAGRODA ZA DEBIUT
ŚWIATOWY DZIEŃ POEZJI UNESCO 2006

© Copyright by
Miłosz Kamil Manasterski & e-bookowo
Wybór i redakcja:
Zbigniew Irzyk, Zdzisław Tadeusz Łączkowski

Posłowie: artykuł Michała Kasprzaka
z pisma „Lampa i iskra boża”

Ilustracja na okładce: Hoang Bin
(<https://www.pexels.com/u/hoang-bin-20063/>)

Projekt okładki Miłosz Kamil Manasterski

ISBN 978-83-7859-725-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2016

Od autora

Sztuka pokory

Po 11 latach od pierwszego wydania odczuwam potrzebę napisania do „Sztuki czytania” kilka słów wstępu dla mojego czytelnika, która spotka się z tą książką kilka lat po jej pierwszym wydaniu. Książka ta ukazuje się ponownie w roku 2016, roku, w którym szczęśliwa historia zatoczyła okrąg. Dziesięć lat temu, w roku 2006, „Sztuka czytania”, mój debiutancki tom wierszy, został zauważony przez krytyków cudownie doceniony „Nagrodą za debiut książkowy” Światowego Dnia Poezji UNESCO. To niezwykle ważne wydarzenie w sposób trudny do opisanego zmieniło moją sytuację, jako młodego, choć już doświadczonego (29-letniego) poety. Prawdą jest, że lista moich nagród w konkursach literackich i publikacji zbiorowych już wówczas wyglądała imponująco. Jednak to „Nagroda za debiut” Światowego Dnia Poezji UNESCO otworzyła przede mną nowe, niedostępne dotąd możliwości: przekłady, publikacje za granicą, a nawet możliwość reprezentowania Polski na międzynarodowych festiwalach literackich. A było to przecież „zaledwie”, mówiąc żargonem środowiskowym „małe UNESCO”. Tzw. dużą, międzynarodową nagrodę Światowego Dnia Poezji UNESCO, czyli oficjalnie Award World Day Poetry UNESCO, w roku 2006 za całokształt swojej twórczości odbierał Kazimierz Brakoniecki. Stałem obok niego pozując do zdjęć szczęśliwy, ale w głębi duszy zadając sobie pytanie, czy kiedyś uda mi się sięgnąć

po ten najważniejszy w naszej części Europy laur dla poety.

Historia zatoczyła koło. Dziesięć lat później, dziesięć książek później, dziesiątki publikacji i przekładów później, w roku 2016 to mnie właśnie przypadł zaszczyt odebrania Award World Poetry Day UNESCO. Otrzymałem ją z rąk redaktora naczelnego „Poezji dzisiaj” Aleksandra Nawrockiego, tak jak przed laty Ernest Bryll, ks. Jan Twardowski, Juliusz Erazm Bolek czy Jarosław Klejnocki. Wtedy okazało się, że „małe UNESCO”, nagroda dla wyróżniającego się debiutanta, to zaledwie przedsmak prawdziwego poetyckiego sukcesu.

Nie mam jednak wątpliwości: nie byłoby Award World Poetry Day UNESCO w 2016 r., gdyby nie było „Nagrody za debiut książkowy” w 2006 r. Dlatego postanowiłem przypomnieć mój pierwszy oficjalny tom wierszy, nieobecny od wielu lat na rynku wydawniczym, tom który otworzył mi drogę w literacki świat.

Historia powstania „Sztuki czytania” sama w sobie jest zresztą interesująca. Bystry czytelnik spostrzegł przed chwilą, że nazwałem ją pierwszym oficjalnym debiutem. W rzeczywistości, nazwijmy to „debiuty nieoficjalne” miały już miejsce wcześniej. W końcu początek mojej nieprzerwanej działalności twórczej datuje się na rok 1986, czyli trzydzieści lat wcześniej od chwili, w której piszę te słowa. Otrzymałem wówczas pierwszą w swoim życiu nagrodę w konkursie literackim na opowiadanie o moim rodzinnym mieście, Kaliszu. Kto wtedy pomyślał, że dalej będzie „z górki”, ten się niestety pomylił. Droga do oficjalnego debiutu książkowego była bowiem długa i trudna.

Jeśli odtwarzać historię sprzed „Sztuki czytania”, to warto zatrzymać się w roku 1997. Należałem wówczas do grupy studentów łódzkiej filologii polskiej, która pod szumnym szyldem „Salon Twórców Niezależnych” pragnie zdobyć czytelników, jednocześnie rezygnując z walki o miejsce w literackim mainstreamie. Naszym

sprzymierzeńcem była kserokopiarka i pierwsze komputery osobiste z programem Word, których to narzędzi użyliśmy do kontynuowania tradycji „drugiego obiegu”. Jakby to nie brzmiało dzisiaj groteskowo i amatorsko, pod koniec lat 90-tych, my piękni dwudziestoletni naprawdę czuliśmy się pozbawieni możliwości uczestnictwa w wolności prasy i wydawnictw. Pokolenia, które szły przed nami, obalając poprzedni ustrój, zajęły same miejsca na Parnasie i nie zostawiły miejsca dla swoich następców. Wydawnictwa, prasa, media – owszem były „oswobodzone” z rąk reżimowych twórców, ale jednocześnie były „okupowane” przez beneficjentów zmiany ustroju.

Wyglądało na to, że owoce wolności słowa są dla mojego pokolenia niedostępne. Wydawnictwa, prasa, salony i saloniki literackie cieszyły się sobą, nie próbując się nawet pochylić nad młodymi. W wersji złagodzonej: mieliśmy jeszcze czas, byliśmy bardzo młodzi, musimy się uczyć. Owszem, prawda, ale jak się uczyć bez interakcji z czytelnikiem? Jak się rozwijać poza obiegiem? Stąd nasza decyzja, programowa, o podjęciu walki z systemem, sprawdzoną bronią: obiegiem nieoficjalnym. Obiegiem w nieco innych warunkach, nie tak dramatycznych jak w latach PRL. Bądź co bądź, żaden cenzor ani policjant nam nie zagrażał. Zagrażała nam jedynie całkowita nieobecność i milczenie.

W takich warunkach, w takim czasie, ukazał się mój pierwszy tomik zatytułowany „27 X 1997”. Tytuł nie był zbyt wyszukany, określał zarówno datę wydania, jak i powstania zbioru. Większość znajdujących się w nim utworów powstała właśnie tego, twórczego dnia. Nie miałem jeszcze własnego komputera, skład powstał więc, zgodnie z uświęconą tradycją, na maszynie do pisania. Karty maszynopisu ozdobiłem osobliwymi kolażami ilustracji i tytułów z prasy, dostępnej tego dnia w kioskach. Dalej był punkt ksero i zszywacz biurowy. Nie było ceny, kodu paskowego, numeru ISBN

i wydawnictwa. Tak powstało powielonych pierwsze 200 egzemplarzy tomów mojej poezji. Część z nich otrzymali od razu moi znajomi, ale reszta powinna trafić do dalszej dystrybucji. Jak to zrobić? Przecież nie można było zanieść samizdatu do hurtowni książek, ani nawet do księgarni. Żeby wstawić coś do najmniejszego nawet sklepu potrzebna jest faktura, czyli de facto podmiot gospodarczy. A student – zbuntowany poeta – antysystemowy, podmiotem gospodarczym w rozumieniu prawa z całą pewnością nie jest. Co więc robić? I na to znalazłem rozwiązanie. Wyjściem tym były antykwariaty. Popularne i chętnie odwiedzane sklepy, w których można wstawić „prywatnie” w komis książki. A że książki te były zupełnie nowe? Trafiły na półki obok innych samizdatów z lat 80-tych, jeszcze boleśniej i głośniej upominając się o sprawiedliwość wobec młodych. I nie tylko trafiły, ale zniknęły. Zniknęły na tyle szybko, że sam dzisiaj nie posiadam ani jednego egzemplarza „27 X 1997”.

Gdyby nasz „Salon Twórców Niezależnych” przetrwał personalne nieporozumienia i zazdrości, gdyby grupa młodych poetów z filologii polskiej potrafiła dłużej ze sobą współpracować, może wspólnie byśmy mocniej namieszali w historii współczesnej literatury. „Salon...” jednak rozpadł się, jak wiele tego rodzaju efemerycznych twórców z czasów młodości górnej i chmurnej. Bez współpracowników „rewolucjonistów”, pozostało mi wrócić do oficjalnego nurtu, a każdym razem pokojowo próbować znaleźć swój prom, albo chociaż szalupę ratunkową. Pewną szansę ku temu stwarzały konkursy literackie. Szczególnie ważny był dla mnie jeden z nich: imienia Jacka Bierezina. Zebrałem nowe teksty i złożyłem w tom pod tytułem „Z archiwum K” (mam nadzieję, że dobrze pamiętam tytuł). Miałem pełne prawo uczestniczenia w tym konkursie, ponieważ mój wcześniejszy samizdat w świetle przepisów nie był książką – nie miał numeru ISBN. Nikt zresztą

z Szanownych Krytyków, nawet gdyby miał moją publikację w ręku, za książkę by ją nie uznał. Ot, ksero...

„Z archiwum K” zostało dobrze przyjęte. Jury nominowało mnie do nagrody głównej, według nieoficjalnego rankingu zająłem 3 miejsce... Co z tego, jeśli wydawana była tylko książka zwycięzcy. Pozytywne było jednak moje zaistnienie, które przypadło w momencie, kiedy łódzkie Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zaczęło się nieco otwierać na młodych. Tak trafiłem do elitarnego Koła Młodych SPP (było nas 6 osób!) i na zorganizowane specjalnie dla nas warsztaty z Piotrem Matywieckim. Krytyk pochwalił nas ogółem za sprawność warsztatową, zdolności i dojrzałość piór. Zganił zaś za jakiś brak odwagi, ugrzecznienie, za jakąś polityczną poprawność. Było to dla mnie wstrząsające, bo właśnie moja „nieugręczniona” poezja z czasów „27 X 1997” nie przebijała się przez „starych”. „Grzeczny” i stosunkowo „poprawny” tom („Z archiwum K”) zaś zdobył nominację do nagrody głównej w konkursie im. J. Bierezina. A teraz znów jest źle i za grzecznie...

Nie trzeba było wilka dwa razy wołać do lasu. Złożyłem szybko nowy tom wierszy „Zasady gry” i wysłałem na dwa konkursy na debiut książkowy. Jednym z nich był ponownie Bierezin (kolejna edycja) – drugim konkurs Nadnyskich Spotkań Literackich. I wyjechałem z Łodzi do Warszawy.

Minęło kilka miesięcy. Dwa dni przed wigilią zadzwoniłem do mojego wspaniałego kolegi po piórze – Tadeusza Zawadowskiego z życzeniami świątecznymi. Przed końcem sympatycznej rozmowy Tadeusz rzucił do telefonu: „A i gratuluję ci książki!”. „Dziękuję ci bardzo” – odpowiedziałem odruchowo na uprzejmość. Przed samymi świętami ukazało się kilka almanachów poezji w których miałem szczęście opublikować swoje wiersze. Coś mnie jednak tknęło. Tadeusz Zawadowski, mistrz precyzji słowa, jeśli mówiłby o mojej obecności w almanachu, to nie powiedziałby, że gratuluje

mi książki. To nie jest to samo. Ale w takim razie... Po dobrych kilku sekundach zdumionego milczenia zapytałem o jaką książkę mu chodzi. „O twoją, o twoją własną”.

I tak oto, zupełnie przypadkowo, składając świąteczne życzenia Tadeuszowi Zawadowskiemu ze Zduńskiej Woli, dowiedziałem się, że pod niemiecką granicą, w Zgorzelcu, w roku 1999 ukazał się mój tom wierszy zatytułowany „Zasady gry”. Ukazał się bez żadnego porozumienia z autorem, choć z jego domyślną zgodą, ponieważ był on Nagrodą Główną IV Nadnyskich Spotkań Literackich. Cudowna sprawa, a jednak, przyznaję, radość mieszała się we mnie z irytacją. Organizatorzy bowiem nie zabiegali o moją obecność na premierze, nie konsultowali ze mną niczego, co byłoby związane z wydaniem, wreszcie rozdysponowali w zasadzie cały nakład. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego można było dołożyć starań by moją książkę rozesłać do wielu poetów i krytyków literackich a całkowicie zaniechać prób skutecznego skontaktowania się z autorem i laureatem... Kiedy dodzwoniłem się do Zgorzelca dowiedziałem się, że może jeszcze jakieś książki im zostały... I jeśli tak, to prześlą mi pocztą...

A tymczasem w Łodzi obradowało jury konkursu imienia Jacka Bierzina. I jak dowiedziałem się później nieoficjalnie moja propozycja byłaby nominowana ponownie z szansami co najmniej na podium, ale jeden z jurorów, szczęśliwie lepiej poinformowany lepiej niż ja, powiedział „Ale moment, Miłosz właśnie wydał książkę, więc trzeba jego tom usunąć z konkursu...”.

Tyle tylko, że nie wszystko było takie oczywiste. Nie wiem, czy rzeczywiście miałem szansę wygrać kolejną edycję Bierzina i wydać w ten sposób książkę pod patronatem Gazety Wyborczej. Wiem natomiast, że nie było powodu, by eliminować mnie z konkursu. Zrozumiałem to w momencie, kiedy dotarła do mnie paczka ze Zgorzelca. Znalazłem w niej bowiem swój arkusz po-

etycki, Nagrodę Główną w konkursie na debiut książkowy...

Śpieszę wyjaśnić: nie wszystko złoto, co się świeci. Dzisiaj te podziały nie są już zapewne takie oczywiste, druk cyfrowy zniwelował konieczność rozliczania książek na arkusze wydawnicze. Jednak na przełomie wieków zgodnie z wieloletnią tradycją środowisko literackie odróżniało arkusz poetycki od książki poetyckiej. To archaiczne już dzisiaj odróżnienie wtedy było szczególnie istotne. Czymże się one w praktyce różniły? Otóż tom o mniejszej objętości (arkusza wydawniczego) w przypadku poezji liczący do 700 wersów, nie był traktowany jako książka (pomimo numeru ISBN). Książka poetycka powinna składać się z co najmniej dwóch arkuszy. Wydanie dowolnej ilości arkuszy przez autora nie było traktowane jako wydanie pełnoprawnej książki. Arkusz był czymś, co na gruncie muzycznym można by nazwać singlem. Tyle, że dzisiaj singli też już w zasadzie nie ma.

Na czym więc polegało moje nieszczęście? Mówiąc wprost – nadesłałem odpowiedniej objętości propozycję wydawniczą na konkurs dla debutantów, w którym nagrodą było wydanie książki. Konkurs ten wygrałem, jednak organizator „zaoszczędził” – wyrzucił część wierszy i „ubił” resztę w arkuszu poetyckim. Znalazłem się w pułapce. Nie mogłem już brać udziału w kolejnych konkursach na debiut książkowy, bo w świat poszła informacja, że takowy wygrałem. Kiedy jednak pokazywałem swoją publikację, ludzie pytali mnie, gdzie moja książka, bo to przecież arkusz... Po drodze, jak już wiecie, straciłem też szansę na nagrodę w konkursie im. Jacka Bierezina...

Książki nadal nie było. Był arkusz, który nawet podobał mi się od strony graficznej. I którego miałem ledwie kilka egzemplarzy. Żeby więc trochę nasycić oczekiwania czytelników, rozebrałem jedną książkę i znów pojawiłem się w punkcie ksero. A potem do roboty: linijka, zszywacz... Samizdatów ciąg dalszy.

Do trzech razy sztuka?

W 2002 roku na Pomorzu, znalazłem konkurs na publikację książki poetyckiej, w którym można było już mieć na koncie jedną publikację książkową. Jakby tego mojego arkusza nie liczyć, tak czy owak, zgadzało się. Wystartowałem i wygrałem. Przejechałem przez pół Polski na finał, wraz z moją świeżo poślubioną żoną. Na miejscu okazało się, że warunki nieco się zmieniły. Nieco, Zamiast indywidualnej książki (na którą organizatorowi zabrakło pieniędzy) będzie publikacja cyklu wierszy w czasopiśmie literackim. Zamiast nagrody finansowej był uścisk dłoni prezesa. Pomimo, iż rozmawiałem przez telefon z organizatorem przed wyjazdem na finał, nikt mnie nie uprzedził o tych drobnych zmianach.

Przyznaję, że takie momenty są bardzo trudne. Wychodzimy na środek sceny, pamiętam, że tamten finał konkursu miał bardzo piękną oprawę. Wspaniałe jury, kamera Telewizji Polskiej, Kira Gałczyńska wręczająca mi dyplom... Dziesiątki ludzi na widowni, którzy bacznie się przyglądają i w pewnej mierze zapewne zazdroszczą... Jeszcze widzowie przed telewizorem. Oto powinien stać przed nimi wszystkimi szczęśliwy młody poeta, którego wiersze błysnęły najjaśniej wśród setek innych. A tymczasem człowiek gotuje się w środku, starając się by nie wybuchnąć przed czujnym obiektywem kamery, w świetle reflektorów. Bo przecież to właśnie moje niezadowolenie by zapamiętano, a jego przyczyna... No cóż, przecież wygrał, zwyciężył, dostał Grand Prix... I ciągle niezadowolony.

Może myślał, że Ferrari dostanie...

Nie, po prostu myślał, że wydadzą mu książkę. Naprawdę. I w mojej sytuacji finansowej w owym czasie wyjazd na Pomorze był znacznym kosztem, na refundację którego liczyłem.

Do czterech? Do pięciu razy sztuka?

Minęło kilka lat. Przekroczyłem już dawno magiczne 25 lat, moment debiutu Adama Mickiewicza. Pierwszą książkę, aktywny, piszący, wygrywający konkursy poeta, poeta mający materiał na pierwszą książkę, powinien ją wydać do 25 roku życia. Nigdzie to nie było napisane, ale wiercie mi, tak to wszyscy odczuwali. Dziś ten wiek przesunął się jeszcze bardziej, bliżej 18 lat. Kiedy ja miałem 18 lat, wszyscy mi tłumaczyli, że jestem za młody, że trzeba kilka lat poczekać. Poczekałem i okazało się, że jestem za stary. Pojawiły się nowe konkursy wydawnicze, dla osób przed 25 rokiem życia. Co za ironia losu...

Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Któregoś pięknego dnia Roku Pańskiego 2004 zgłosił się do mnie wydawca. Prawdziwy wydawca. Wydawca poważny i wydający liczne książki. Współpracujący z poważnymi instytucjami. Wydawca, który w ramach swojej pasji postanowił wydać serię poetycką i mnie w niej umieścić jako pierwszego. Wydawca, który miał już zagwarantowane pieniądze na moją publikację (miał, sprawdziłem). Czy można było sobie wyobrazić coś lepszego?

Przedemną był tylko jeden problem: mnóstwo wierszy. Wiersze sprzed 1996 roku uznałem za niezdatne do publikacji. Ale nawet pozostałe osiem lat to okres bardzo intensywnej pracy literackiej.

Każdego roku powstało kilkadziesiąt wierszy. Szukałem dla nich jakiegoś klucza: przede wszystkim wybrałem te, które zdobyły nagrody w konkursach literackich.

Tylko, że przez te osiem lat byłem laureatem stu konkursów literackich, w każdym przeciętnie brały udział zestawy złożone z 3 do 5 wierszy, dawało to około 400 nagrodzonych utworów. Nie wszystkie były publikowane w prasie literackiej, almanachach i antologiach. Odpadła około jedna trzecia. Nadal miałem w puli blisko trzysta wierszy, tymczasem mój wydawca chciał opublikować maksymalnie 50-60 utworów. Z czego zrezygnować? Te wiersze to I nagroda w Konkursie „O Laur Jesiennej Chryzantemy” Civitas Christiana, a te wygrały w konkursie „O Liść dębu”, gdzie w jury był m. in. Ernest Bryll... Nie byłem w stanie skomponować tego tomiku inaczej niż losowo. A losowo nie chciałem.

Poprosiłem o pomoc wybitnego chrześcijańskiego poetę Zdzisława Tadeusza Łączkowskiego i znakomitego krytyka związanego także z myślą katolicką – Zbigniewa Irzyka. Dokonali oni wyboru i selekcji przy pewnym, istotnym wsparciu Ewy Nowackiej. Tak powstała kompozycja, rozdziały i przede wszystkim wybór tekstów. A dla mnie kolejna, wspaniała lekcja pokory.

„Nagrodę za Debiut Książkowy” Światowego Dnia Poezji UNESCO 2006 otrzymałem za sprawą wspaniałych redaktorów. Oczywiście wiersze były moje. I nikt w nich nie „grzebał” – w tym sensie, że ulegały ponownej redakcji, korekcie, poprawką. Nie było takiej potrzeby – po prostu było ich tak wiele, że jeśli moi redaktorzy mieli jakieś zastrzeżenia do któregoś, jakiegokolwiek wątpliwości, po prostu łądował poza tomikiem. Selekcja była okrutna i wiele razy czułem żal, że ten i ów mój ulubiony wiersz nie zostanie wydrukowany. Podałem się z pokorą werdyktom doświadczonych i mądrzejszych. Cieszę się z tego. Gdyby nie pomysł Łączkowskiego i Irzyka na ten tom, nie byłoby „Sztuki czytania”. Także

tytuł zaproponował Zbigniew Irzyk. Akurat tu zdania były podzielone, Zdzisław Tadeusz Łączkowski, twierdził, że brzmi nazbyt klasycznie. Jednak taki tytuł został.

Czy to już koniec? Czy to już „happy end”?

Niezupełnie.

Wróćmy teraz do wydawcy. Przedstawiłem mu wypracowany i skomponowany tom, propozycje okładki. Był zachwycony. Był człowiekiem tak sympatycznym i tak urzeczonym moją osobą, że przedstawił mnie swojej rodzinie, pokazał mi swoją drukarnię. Czułem się jak nominowany do Nobla, przedstawiany jako młody, zdolny i wybitny. W najśmielszych planach nie przewidywałem tak przyjacielskiej relacji z wydawcą. Po kolejnym serdecznym spotkaniu ustaliliśmy termin wydania – książka mogła ukazać się nieco wcześniej, ale najpóźniej będzie wydrukowana za miesiąc.

Minął miesiąc radosnego oczekiwania. Dzwonię do mojego przyjaciela-wydawcy – nie odbiera. Dzwonię do wydawnictwa – Pana Prezesa nie ma. Proszę o wiadomość. Brak wiadomości. Tak przez dwa tygodnie. W końcu udaje się mi dodzwonić. Jeszcze miesiąc – informuje mnie mój wydawca.

Dzwonię za miesiąc. Znów nie odbiera. Znów dwa tygodnie dobijania się. W końcu udaje się porozmawiać z Szanownym Panem Prezesem. „Sztuka czytania”? Ależ drukuje się właśnie. O jaka ulga. Bo ja właśnie wyjeżdżam w weekend do Oświęcimia i bardzo bym chciał zabrać ze sobą kilka egzemplarzy. Kiedy wyjeżdżam? W sobotę rano. Skąd? Z Dworca Centralnego. Który peron? Sprawdzę.

Mój wydawca obiecał mi, że egzemplarze sygnałne, jak tylko wyschną podrzuci mi na dworzec. Czekałem do ostatniej chwili na peronie wyglądając człowieka z paczką książek dla mnie. Zrezygnowany wsiadam w pociąg. Mojego telefonu znowu nikt nie odbiera.

Mijają kolejne dni... Kontakt z wydawcą nie udaje mi się nawiązać.

Mógłbym po prostu dać sobie spokój i pójść z książką gdzie indziej. Problem w tym, że mam podpisaną umowę wydawniczą, a mój niedoszły wydawca ma zapewnione finansowanie na moją książkę. Muszę więc zaangażować prawnika. Tak mija 2004 rok, którego pierwsze miesiące poświęciłem na podpisanie umowy z wydawcą, a ostatnie na jej rozwiązanie. A książki nie ma.

I w końcu moja żona rzuca głośno: Wydawnictwo IBiS. No tak, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Umawiam się na spotkanie, przynoszę projekt książki. Mój nowy wydawca okazuje się solidnym, uczciwym partnerem, na lata. Teraz jednak mamy dopiero rok 2005 – rok przełomu. „Sztuka czytania” materializuje się jako książka. W kolejnym roku zostaje oceniona jako najlepszy debiut. Nie przepadła, jak jedna z około dwóch tysięcy książek poetyckich wydanych w roku 2005. Warto było czekać, choć czekać było trudno. Warto było wydać ją tam, gdzie się ukazała i w czasie, który był dla niej właściwy.

Po co ten długi wstęp? Dlaczego piszę o swoich perypetiach, o trudnościach? Czy chcę w kimś wzbudzić współczucie? Skądże!

W wieku 38 lat, po 30 latach pracy twórczej, dziewiętnaście lat po debiucie w drugim obiegu, w jedenaście lat po oficjalnym debiucie książkowym, otrzymałem Award World Poetry Day UNESCO i jestem szczęśliwy i spełniony. Moja przygoda z literaturą nie kończy się, tylko wciąż zaczyna i wiele jeszcze pracy przede

mną. Cieszę się nagrodą, która jest w świecie kojarzona i która otwiera wiele drzwi. Mogę z miejsca w którym stoję z dumą spojrzeć w przeszłość i powiedzieć sobie: ciężko było. Naprawdę ciężko. Ale nie poddałem się.

I to jest właśnie przekaz dla Ciebie, drogi czytelniku. Zanim zapiasz się w lekturze wierszy, sprawdzisz na ile bronią się przed upływem czasu, na ile pozostają uniwersalne. Zanim przejdiesz do kolejnych rozdziałów pomyśl o swoim życiu, o swoich staraniach, o tym, co ci nie wychodzi. Może też od wielu lat próbujesz zrealizować swoje marzenia i ciągle wychodzi coś nie tak. Nie poddawaj się – walcz, a jeśli jesteś chrześcijaninem – walcz i módl się. Z pokorą przyjmuj kolejne problemy, aż w końcu wygrasz. Nie wiem kiedy. Czy już jutro, czy dopiero za dwa lata. Moje przygody były dla mnie niezłym treningiem pokory i wytrwałości. Ilekroć myślałem: „No, teraz to już będzie się działo...” – sprawy nagle stawały w miejscu.

Ile razy było bardzo blisko wydania moje książki i wszystko obracało się wniwecz? Choć nawet pisząc ten wstęp nie potrafiłem sobie podarować ironii czy złośliwości – dzisiaj naprawdę nie mam do nikogo pretensji. Jestem wdzięczny. Za to co nie wyszło, za to co wyszło, ale nie tak, jak sobie wyobrażałem. Dzisiaj jestem laureatem Award World Poetry Day UNESCO 2016 i rozumiem już, że gdyby moje ścieżki były inne, wygodniejsze albo prostsze, mógłbym nigdy nie dojść do tego miejsca.

Dlatego wiem, że tak musiało być, jak było. I dziękuję wszystkim, którzy to sprawili, choć swego czasu mogłem na nich niezłe kłąć.

Tego samego życzę Tobie – mój Czytelniku. Sukcesu w Twoich pasjach, który pozwoli Ci inaczej spojrzeć na przeszłość, uśmiechnąć się do starych problemów i iść dalej, lżejszym i swobodniejszym krokiem.

Powodzenia!
Z Bogiem!

Nota biograficzna:

Miłosz Kamil Manasterski – biogram

Miłosz Kamil Manasterski (ur. 1977) – poeta, prozaik, prelegent, menedżer kultury, tłumacz poezji. Autor dziesięciu książek poetyckich – w tym dwie wydane za granicą (Chiny i Bułgaria) i zbioru felietonów “Byłem ochroniarzem księdza Twardowskiego”. Laureat nagród literackich m.in. Nagrody Juliana Tuwima (1998), Nagrody Nadnyskich Spotkań Literackich (1999), Nagrody za debiut książkowy Światowego Dnia Poezji UNESCO (2006), Nagrody Redakcji „Poezji dzisiaj” – stypendium w Paryżu (2009). Nagrody Prezydenta Miasta Łomży (2009), Nagrody Prezydenta Płocka (2009). Jako najmłodszy z Polaków był gościem China Writers’ Association w 2009 r., kiedy to odwiedził Pekin, Shanghai i Badalin spotykając się z chińskimi czytelnikami, studentami i pisarzami. Jego tom poezji „Sepia” otrzymał tytuł Książki 41. Międzynarodowego Festiwalu „Warszawska Jesień Poezji”. Z kolei zbiór „Tuwim. Inspiracje” został jedną z pięciu książek poetyckich roku 2013 według jury XXVI Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu. W 2014 r. za swoją działalność jako animator kultury i popularyzator poezji polskiej otrzymał tytuł „Człowieka zasłużonego kulturze” polonijnej organizacji Głos Polskiej Kultury w Wielkiej Brytanii. W roku 2016 otrzymał prestiżową Award World Poetry Day UNESCO 2016. Jednym z elementów nagrody było wydanie dwujęzyczne książki poetyckiej - wyboru wierszy Manasterskiego po polsku i angielsku „Niebowidzenie / Skyseeing”.

Reprezentował Polskę na wielu międzynarodowych festiwalach literackich m.in. w Bułgarii, Chorwacji, Rosji, Tatarstanie, Wielkiej Brytanii i Rumunii. Był redaktorem naczelnym Magazynu Związku Literatów Polskich (2007-2012). Jego wiersze przełożono na kilkanaście języków (m.in. chiński, jakucki, białoruski, węgierski, rumuński, ukraiński). Od 2012 r. jest Dyrektorem Centrum Kultury w Łomiankach. W roku 2015 został wybrany Prezesem Związku Pisarzy Katolickich.

Wiersze i opowiadania Miłosza Kamila Manasterskiego znalazły się w ponad pięćdziesięciu antologiach i almanachach wydawanych w kraju i za granicą (m. in. „Papieżowi poecie – poeci”, „Praski almanach literacki”, „Proza życia”, „Po drodze 2005”, prestiżowej antologii współczesnej poezji polskiej „Из века в век” (jako najmłodszy autor).

Manasterski jest także laureatem ponad stu ogólnopolskich konkursów literackich. Sam również ocenia wiersze jako juror m. in. Festiwalu „Złoty Środek Poezji” w Kutnie (2008), Turnieju Młodych Autorów Warszawskiej Jesieni Poezji (2008, 2011), Turnieju Jednego Wiersza o Laur Burmistrza Łomianek (2003-2012), OKP im. D. Maliszewskiego w Ostrołęce (2009-2012), OKP „O Laur Tarczynki” w Tarczynie (2009), II OKP „Mój list do świata” w Sieradzu (2010).

Publikacje indywidualne:

„Zasady gry. Wiersze” (Zgorzelec 1999),

„Sztuka czytania. Wiersze” (Warszawa 2005),

„Spa. Wiersze” (Warszawa 2007)

„Portfolio. Wiersze” (Warszawa 2008, edycja specjalna dla Teatru Miejsce - 2012)

„Notebook Norwida. Wiersze” (Biblioteka Poezji Dzisiaj 4/2009),

„Złote i czerwone. Wiersze” (Łódź / Pekin 2010, publikacja w jęz. polskim i chińskim, przekład Ju Shan)

„Byłem ochroniarzem księdza Twardowskiego. Felietony” (Będzin 2010)

„Tramwaj zwany 805N. Opowiadania” (Będzin 2011).

„Зад прозореца градче” - wybór wierszy w jęz. bułgarskim (Sofia 2012, przekład Dimitar Hristov i Ana Bagrina)

„Sepia. Wiersze” Warszawa / Będzin 2012

„Tuwim. Inspiracje” - Warszawa / Będzin 2013

„Niebowidzenie / Skyseeing” wybór wierszy i przekład na język angielski

Przekłady:

„Równonoc” - wiersze Dimitara Hristova. Przekład z języka bułgarskiego. Warszawa / Będzin 2012

Spektakle:

„Akt I” - Teatr Pod Gwiazdami, reż. Mariola Chojnacka, Kalisz 1995

„Do widzenia, do jutra” - słuchowisko poetyckie, Katolickie Radio Emaus, Poznań 2010

„Dziwny ten świat” - Teatr Miejsce, reż. Tadeusz Kijański, Łomianki 2012

„Sepia” - Teatr Miejsce, reż. Tadeusz Kijański z udziałem Stanisławy Celińskiej, Łomianki 2013

„Pieśń Królewicza” (w przygotowaniu)

Spis treści

Od autora	4
Od Redaktorów	17
I	22
PRZEDMIEŚCIA EUROPY	23
NAUKA KOPANIA	24
FRANCUSKA CZEKOLADA	26
STAN WOJENNY	28
NAUKA JĘZYKA	30
UKŁAD TOWARZYSKI	32
ŻYCIE POETÓW	34
TAJNA MISJA POETÓW	36
ŚMIERĆ POETY	38
WIECZNOŚĆ POETÓW	40
NIEBO POETÓW	41
WEEKEND Z BLONDYNKĄ	43
KŁAMSTWO OŚWIĘCIMSKIE	44
KOLEJNOŚĆ UCZUĆ	45
KWIATY NA TABORECIE	46
PRZEZ NOC	48
POMIĘDZY WIERSZAMI	49
8.15	50
INNA STREFA CZASOWA	51
CENA	53

LIPTON EARL GREY	55
POŻEGNANIE Z AFRYKĄ	57
II	59
PKS CIECHANÓW	60
KOŁA AUTOBUSU	62
PASAŻER	63
PODRÓŻNI Z BILETEM MIESIĘCZNYM	65
QUO VADIS	67
ZIMA W MIEŚCIE	68
LUTY	69
17.30 I PÓŻNIEJ	70
PARADOKS STAROŚCI	72
HODOWCA PELARGONII	74
ZŁOŚLIWOŚĆ RZECZY MARTWYCH	76
OSTATNIA ZMIANA	78
MIEJSCE NA...	80
TRANSKRYPCJA	81
CHYBA ŻE	82
WESOŁE MIASTECZKO	84
RODZINNEMU MIASTU	86
NASTĘPNI	88
STAN UPADŁOŚCI	89
DO NIEBA - DO PIEKŁA	90
JEST JESZCZE CZAS	91
W LIKWIDACJI	92
120 KILOMETRÓW DO POZNANIA	93

III	94
ŻACMIENIE	95
CIEMNOŚCI	97
CZUWAMY	99
BOŻE, COŚ SŁOŃCE	100
ŚWIT	102
IV	103
ARS POETICA	104
POLSKI IKAR	105
ZNÓW JESTEM POETĄ	106
NA POCIESZENIE	107
SZTUKA CZYTANIA	109
Michał Kasprzak W stronę przejścia...	110
Nota biograficzna	115